



Nie wystarczy marzyć

Z Miłką Raulin, najmłodszą zdobywczynią Korony Ziemi z Polski, rozmawia Jakub Terakowski

Gdzie byłaś?

W Nepalu. Wróciłam do Polski po ponad dwóch miesiącach nieobecności.

A co tam robiłaś?

Zdobyłam Mont Everest.

Po co?

Bo był ostatnim, brakującym mi do kompletu szczytem z Korony Ziemi (najwyższe szczyty poszczególnych kontynentów – red.). Zdobывая jego wierzchołek, zakończyłam realizację projektu „Siła Marzeń – Korona Ziemi”. Co nie oznacza, że zamierzam spocząć na laurach. Mam już kilka następnych pomysłów.

Już? Przecież jeszcze na dobre nie rozpakowałaś plecaka...

Planów snuję tyle, że życia może mi nie starczyć na realizację wszystkich. Kuszą mnie aktywności, których dotychczas nie próbowałam, przede mną też górskie wyzwania. Za wcześniej jednak na szczegóły. Tymczasem muszę ostatecznie zamknąć ten etap „Siły Marzeń”.

EVEREST BYŁ ŁAGODNIEJSZY

Jesteś najmłodszą Polką, która zdobyła Koronę Ziemi?

Tak. Koronę przekazała mi Martyna Wojciechowska, która zresztą bardzo mocno mi kibicowała i trzymała za mnie kciuki. Jej dobra energia towarzyszyła mi nieustannie. I nie tylko energia, bo w Nepalu poznałam bliską przyjaciółkę Martyny.

A media twierdzą, że rywalizowałyście.

Bo media uwielbiają rywalizację, taka już ich przypadłość. Dla dobra sprawy byłam gotowa nie prostować tych informacji, ale też nigdy nie eksponowałam naszej różnicy wieku. Natomiast media podkreślały ją bez umiaru, gdyż przeciętność ich nie interesuje. Gdybym była najgrubszą Polką na Evereście, mogłabym liczyć na podobne zainteresowanie... (śmiech). Ale – bez hipokryzji – moim sponsorem też ten ring służył, przysparzając rozgłosu, więc tym bardziej puszczałam cały ów zgłęk mimo uszu.

Kobiet nie pyta się o wiek...

Mam 35 lat, urodziny obchodziłam w Everest Base Camp, dwa tygodnie przed zdobyciem Korony.

Zdobyłaś ją jako dziesiąta z Polek.

Tak, wliczając w to panie, które posiadają polskie obywatelstwo, lecz od lat mieszkają za granicą. Korona Ziemi jest bardzo kosztowna, więc ludzie, którzy ją zdobywają, to zazwyczaj osoby dojrzałe, stabilne finansowo, młodszym trudno byłoby zdobyć niezbędne fundusze. Grono jej zdobywców jest też zdominowane przez mężczyzn, podobnie jak całe góry najwyższe. Ale to się na szczęście zmienia.

Czy jakaś młodsza Polka depcze Ci już po piętach w pogoni za Koroną?

Nie mam pojęcia. Projekt pochłonął mnie do tego stopnia, że nie śledziłam statystyk. Jeżeli depcze, trzymam kciuki. Z przyjemnością przekażę jej Koronę

O innych „perlach” w Koronie opowiadałaś już wielokrotnie, o Evereście nie miałaś jeszcze okazji. Powiedz mi zatem, czy był najtrudniejszą z gór, które zdobyłaś?

Nie można tak tego określić. Każdy wierzchołek ma swoją specyfikę. Na przykład na Denali okropnie zmarzłam, a wejście tam było dla mnie wyjątkowo męczące. Oczywiście nie mogę powiedzieć, że Everest zdobyłam bez wysiłku, lecz w porównaniu do Denali wydawał mi się łagodniejszy... (śmiech). Na Dachy Świata miałam jeszcze zapas energii, mogłabym pójść wyżej, natomiast na Denali – już nie. Technicznie Everest klasyczną drogą, owszem, jest trudny – szczeliny, poręczówki, lód, ekspozycja, nachylenie – lecz są góry trudniejsze.

Natomiast najwyższa góra jest po prostu strasznie męcząca. Tam panują nieludzkie warunki i to dosłownie, bo nie da się w nich żyć. Nieprzypadkowo nazwano ten rejon strefą śmierci. Cały organizm buntuje się przeciwko przebywaniu na takich wysokościach, nic nie funkcjonuje tam tak, jak powinno: głowa, serce, płuca, żołądek, nerki... Już w Dolinie Khumbu zaczął dokuczać mi okropny, chroniczny kaszel. Wyżej dołączyły do tego makabryczne nerwobóle mięśni przyżebrowych. Musiałam się do nich przyzwyczaić, bo nie miałam wyboru. Nie pomagały nawet bardzo silne leki przeciwbólowe. Lekarz zastanawiał się wręcz, czy kaszląc nie połamalam żeber? Podobno są takie przypadki. Na szczęście niczego sobie nie połamalam i 22 maja o godz. 7.30 czasu lokalnego stanęłam na Dachy Świata. Udowodniłam, jaką siłę potrafią mieć marzenia...

DZIEWCZYNA ODDAŁA MI NAGRODĘ

A dlaczego wymarzyłaś sobie akurat Koronę Ziemi?

Bo po górach „szlajałam” się od dawna. Jeszcze przed realizacją projektu zdobyłam samotnie dwa sześciotysięczniki w Himalajach. Nic więc dziwnego, że nie śniłam na przykład o koronie żuźlowej mistrzyni świata... (śmiech). Natomiast sam projekt „Siła Marzeń” wymyśliłam siedem lat temu w samolocie z Nairobi, gdy wracając z Kilimandżaro zaczęłam się zastanawiać nad kontynuowaniem romanisu z górami. Przez myśl mi wówczas nie przeszło, ile – za tych dziewięć randek – trzeba będzie zapłacić... Pomysł na zdobycie Korony przywozłam zatem z Afryki.

No tak, ale co w tej Afryce robiłaś? Uhuru zdobyłaś, kompletując już Koronę, czy jeszcze nie?

Jeszcze nie. Dopiero w samolocie pomyślałam, że skoro zdobyłam już Kilimandżaro, to... do kompletu brakuje mi zaledwie ośmiu szczytów... (śmiech). Wcześniej byłam już wprawdzie na Mont Blanc,





Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa

ale to wejście powtórzyłam w 2016 roku, już z myślą o Koronie.

Nie byłaś gołosłowna, wybierając nazwę dla swojego projektu...

Tak, gdyż marzenia potrafią mieć potężną siłę. Warto marzyć, lecz to nie wystarczy. Marzeniom trzeba ze wszystkich sił pomagać. Ja włożyłam w ich realizację mnóstwo pracy, energii, serca, czasu i środków. Ktoś powiedział, że każde marzenie dane jest człowiekowi wraz z mocą zrealizowania go. Bardzo podoba mi się to zdanie. Myślę, że każdy chce zrealizować swoje marzenia, lecz nie każdy ma dość odwagi. Najtrudniej jest zrobić pierwszy krok...

No właśnie, który był pierwszy w Twoim przypadku?

Po Koronę? Trudno powiedzieć, gdyż tak dużo zależy w naszym życiu od przypadku i ludzi. Jestem tego najlepszym przykładem, bo po raz pierwszy pojechałam w wysokie góry dzięki przypadkowi oraz dziewczynie, której szukam do dziś. Chcę jej podziękować. Pamiętam jak dziś ten dzień wiosną 2004 roku: przed budynkiem uczelni minęłam mężczyznę rozdającego ankiety, coś zaiskrzyło, cofnęłam się, wzięłam jedną. Okazało się, że wśród osób, które ją wypełniły, rozlosowana zostanie nagroda: Challenge, wyjazd w Andy. Wypełniłam przez kalkę trzysta! Pomogłam przypadkowi... Losowanie przeprowadzono po koncercie zespołu Closterkeller, przeszłam do finałowej dziesiątki i... odpadłam. Załamana schodziłam z estrady, gdy dogoniła mnie laureatka, bezinteresownie proponując odstąpienie nagrody, bo przyszła tu tylko na koncert, więc w Andy się nie wybiera. Pojechałam zamiast niej z Krzysztofem Wielickim i Beata Pawlikowską, przechodząc jeszcze przez kolejne etapy eliminacji. Nigdy wcześniej nie byłam na takiej prawdziwej wyprawie. Zrozumiałam wtedy, że konsekwencją jest matką sukcesu. Stwierdziłam, że jeżeli mogę wygrać z jedenastoma tysiącami osób konkurują-

cych o wyjazd do Peru, to mogę wszystko i nic mnie nie powstrzyma, ani nic nie stanie na przeszkodzie.

DZIECKO NIE JEST PRZESZKODĄ

Nawet macierzyństwo?

Macierzyństwo nie przekreśla marzeń. Na kurs szybowcowy chodziłam, gdy Jeremi miał osiem miesięcy. Zawsze jakiś wujek zajmował się nim, gdy byłam w powietrzu. A teraz syn bardzo mnie wspiera, kibicuje mi, na każdą z wypraw przygotowuje specjalny rysunek. Nie pokazuje mi go wcześniej i chowa gdzieś na dnie plecaka, mam więc niespodziankę. Zawsze szukam tej kartki przed wejściem na szczyt i zabieram ze sobą.

Na Evereście też ją miałaś?

Tak, oczywiście. Rysunki Jeremiego wkładałam do specjalnej kieszeni w kombinezonie, przy piersi.

A co Jeremi narysował Ci tym razem?

Mama na szczycie rzecz jasna. Nad nią błękitne niebo i piękne słońce, a pod stopami bardzo wysoka, stroma góra i każdy obóz po drodze.

Wszystko się zgadza. Jeremi ma doskonałą intuicję. Przed wyjazdem na Aconcaguę narysował mnie poniżej wierzchołka, jak gdyby niepewną sukcesu... I rzeczywiście, niewiele brakowało, a nie pokonałabym wówczas tej góry. Z kolei nad Mt Vinsonem, który zdobyłam w Boże Narodzenie, świeci betlejemska gwiazda... Te rysunki są dla mnie jak talizmany, dodają mi mocy, uskrzydłają, zapewniają bezpieczeństwo. Mam ich komplet, wszystkie oprawione, w antyramach, razem z fotografią ze szczytu. To moja najcenniejsza domowa galeria.

Zabierasz czasem Jeremiego w góry?

Tak, chociaż swoją przygodę z górami rozpoczął od silnej awersji, bo podczas pierwszej wspólnej wyprawy złapała nas burza z gradem wy-

soko na grani. To zniechęciło go na jakiś czas, ale kilka lat temu, po mojej prelekcji na festiwalu Wondól Challenge powiedział, że chciałby pojechać ze mną w góry wysokie. Nie musiał mi dwa razy powtarzać, niczego lepszego nie mogłam usłyszeć. Zabrałam go do Gwatemali, gdzie zdobył jej najwyższy szczyt – Tajumulco (4.220 m n.p.m.), a w ubiegłym roku byliśmy też razem w Everest Base Camp (5340 m n.p.m.). Pojechałam tam wtedy na research, bo zależało mi na jak najlepszym przygotowaniu do tej wyprawy. Nie byłoby mnie stać na jej powtórzenie...

PÓŁ MILIONA ŻŁOTYCH NA KORONĘ

Everest jest najdroższą perłą w Koronie?

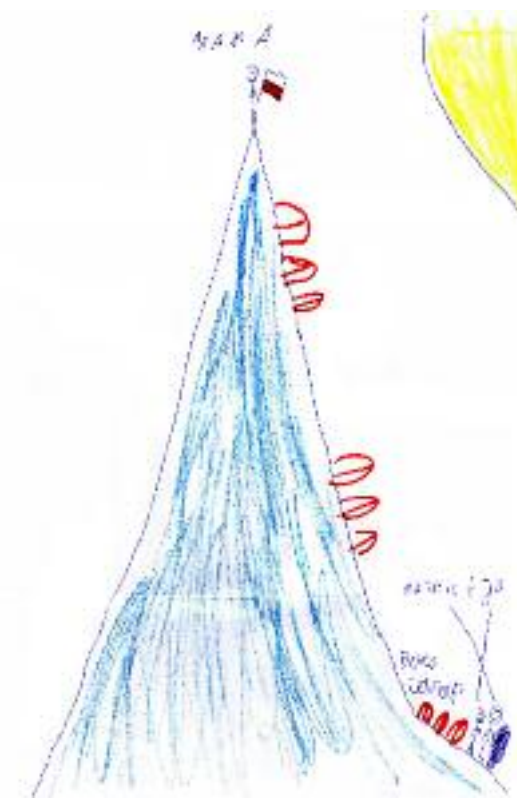
Tak, sama agencja organizująca wyprawę zainkasowała 65 tysięcy dolarów. A po powrocie okazało się, że muszę jeszcze zapłacić 7,5 tysiąca dolarów napiwków, o których nie wiedziałam. Trudno, poradzę sobie, nie z takimi wy-

zwzwaniami już sobie radziłam. Sfinansowanie projektu też było dla mnie Everestem. Cała Korona Ziemi kosztowała mnie około pół miliona złotych. Bez sponsorów nigdy by mi się nie udało.

Jak zdobywa się taką kwotę?

Urokiem osobistym... (*śmiech*). Ale łatwo i szybko nie było. Poszukiwania sponsorów trwały ponad 18 miesięcy, a w samym tylko ubiegłym roku wysłałam sześć tysięcy maili z ofertą sponsorską. Na szczęście są firmy, które wspierają debiutantów. Moi sponsorzy strategiczni to firmy Elbrus i Symphar, a wspierający – Neon i Optima. Mnóstwo zawdzięczam też życzliwości i zaangażowaniu znajomych, dzięki którym moje prośby nie przechodziły przez działy marketingów, lecz od razu trafiały tam, gdzie trzeba. Mogłam więc osobiście przekonywać szefów do mojego projektu. Znaczącą kwotę zdobyłam też poprzez platformę crowdfundingową, a hitem okazała się „randka” ze mną, bo nie tylko zasilila konto projektu, ale pozwoliła też nawiązać bardzo interesujące znajomości. Umawiali się ze mną nie tylko panowie, lecz także dziewczyny. Z jedną bardzo się zaprzyjaźniłam. Ola poleciała do Nepalu i czekała na mnie w Everest Base Camp po zdobyciu szczytu. Pomógł mi też i bardzo podniósł rangę wyprawy oficjalny patronat Ministerstwa Sportu i Turystyki. Cieszę się, że na szczytach Korony Ziemi, poza banerami sponsorów, mogłam rozwijać polską flagę i jestem z tego naprawdę dumna. A rok 2018 uznałam za najlepszy do zakończenia projektu, bo to i setna rocznica odzyskania niepodległości, i 40. zdobycia Everestu przez Wandę Rutkiewicz.

Dom, praca, przygotowania, pieniądze, treningi... Jak udawało Ci się to wszystko pogodzić?



Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa

to zrozumiała, część się obraziła. Co jeszcze? Przez pół roku przed wyprawą na Everest sypiałam w namiocie hipoksyjnym, generującym warunki niedotlenienia, co zwiększa wydajność fizyczną organizmu i przyspiesza proces aklimatyzacji. Wspinaczka – jak widać – nie była zatem najtrudniejszym elementem projektu „Siła Marzeń”. Równie trudno było mi znaleźć czas, siły i pieniądze. Jestem bardzo dumna z tego, że udało mi się pogodzić rolę matki i pracę na etacie z przygotowaniem wypraw.

Czy wszystkie szczyty w Koronie Ziemi zdobyłaś za pierwszym razem?

Tak, na żaden nie musiałam wyruszać dwukrotnie. Jestem w czepku urodzona i tylko na Elbrusie oraz Aconcaguie on mnie trochę zawiódł... (*śmiech*). Elbrus pogroził mi palcem, zrobiłam źle wszystko, co mogłam zrobić tam źle. Wjechałam kolejką zbyt wysoko, wchodziłam zbyt szybko, aklimatyzowałam się zbyt krótko, fizycznie byłam nieprzygotowana, ekwipunek miałam kiepski, zlekceważyłam załamanie pogody. Zdobylam szczyt, lecz schodząc, przemarznięta i wyczerpana, dramatycznie długo szukałam tyczek w zamieci śnieżnej i mgły, która pojawiła się zniemacka. Cienka czerwona linia była wówczas bardzo blisko mnie, nigdy w życiu nie podeszłam do niej bliżej... Widziałam ją wyraźniej niż tyczki... Na dole ze zmęczenia rozplakałam się i zwymiotowałam. Jestem bardzo wdzięczna Elbrusowi za tę lekcję. Dzięki niej zrozumiałam, że zejście ze szczytu jest ważniejsze od wejścia. Może to właśnie dzięki Elbrusowi wróciłam z Aconcaguie żywa? Bo przy pierwszej próbie wycofałam się prawie spod samego jej wierzchołka. Stwierdziłam, że warunki są zbyt trudne i nie chcę ryzykować: Jeremi czeka na

▲ KORONA ZIEMI

lko na Elbrusie oraz Aconcaguie on mnie trochę

zaw
zro
Wje
szy
był
zle
lec
dra
śni
cze
nigdy w życiu nie podeszłam do niej bliżej...
Widziałam ją wyraźniej niż tyczki... Na dole ze
zmęczenia rozplakałam się i zwymiotowałam. am źle
wszystko, co mogłam zrobić tam źle. Wjec



Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa

mnie, muszę do niego wrócić... Po kilku dniach pogoda poprawiła się i zdobyłam szczyt bez problemu.

KAŻDA GÓRA JEST TRUDNA

Tylko Elbrus i Aconcagua były dla Ciebie groźne? A nie mówiłaś, że Denali także?

Nie można tego określić. Warunki panowały tam wówczas świetne, lecz podchodząc, musiałam zmierzyć się z plecakiem ważącym 24 kilogramy oraz sankami obciążonymi jeszcze bardziej (30 kg). Ten ciężar dosłownie wbijał mnie w śnieg. Czułam się wykończona fizycznie. Schudłam siedem kilogramów, a po powrocie wyglądałam jak patyk. Ważyłam zaledwie 45 kilo, czyli mniej niż mój dobytek. To nie dla mnie, psychicznie czuję się mocna, ale fizycznie nie jestem stworzona do noszenia takich ciężarów.

Piramida Carstensz też uchodzi za trudną do zdobycia...

...ale pod innym względem. Każda z gór najwyższych jest trudna na swój sposób. Na Denali jest nieprawdopodobnie zimno, minus 50 stopni i huraganowy wiatr, bez słońca nie ma tam szans. Z kolei w drodze pod Piramidę Carstensz przejść trzeba przez niedostępną tropikalną dżunglę, bagna i wioski tubylców, którzy mogą okazać się wrogi. Ostatni udokumentowany przypadek kanibalizmu odnotowano tam przed 10 laty, Papuasi wierzą, że zjadając człowieka przejmują jego siły, a ja wprawdzie byłabym nieco łykowata, lecz sił mi nie brakuje... (*śmiech*). Na szczęście do kotła nie trafiłam, lecz w jednej z wiosek zatrzymano mnie na kilka dni i musiałam zapłacić za uwolnienie. Nielegalne przejście przez kopalnię złota też do bezpiecznych nie należało. Takie oto – zupełnie niegórskie – wyzwania stawia Carstensz. Wspinaczkowo była to dla mnie bułka z masłem.

A Mont Vinson?

Też był dla mnie łaskawy, słoneczny i bezwietrzny. Oczywiście, było tam zimno, lecz nie tak, jak mogłoby być. Vinson jest natomiast dość kosztownym klejnotem w Koronie, drugim po Evereście.

Podobno podczas Twojej ostatniej wyprawy powstał film...

Tak, „Dziewiąty – w drodze na Everest”, nakręcony przez dokumentalistę, Kubę Goździewicz. Pierwszy odcinek poświęcony jest Krzysztofowi Sabiszowi, który w 2017 roku, schodząc z Everestu, stracił palce, ratując życie innego wspinacza. To była chyba najwyższą na świecie przeprowadzona akcja ratunkowa. Dwa następne odcinki dokumentują moje przygotowania do wyprawy i jej przebieg. Premiera wkrótce, nic więcej nie mogę powiedzieć.

EVEREST MNIE ZMIENIŁ

Na Facebooku, w pierwszym wpisie po zejściu z Dachy Świata napisałaś, że Everest zmienił Cię, ale nie napisałaś jak...

Jeszcze bardziej usamodzielniał, chociaż samodzielności nigdy mi nie brakowało. Wszystkie możliwe dolegliwości oraz infekcje, przez które tam przeszłam, spowodowały, iż zaczęłam zastanawiać się, czy nie jestem już zmęczona górami?

I do jakich wniosków doszłaś?

Że wciąż nie mam ich dość. I kocham je, bo „ładują mi baterie”.

Żałujesz, że pereł w Koronie jest tak mało?

Nie, ale cieszę się, że czekają mnie kolejne wyzwania. Przejrzę zdjęcia z wypraw i chętnie wrócę w kilka miejsc, przez które przemknęłam zbyt szybko.

Na przykład?

Za wcześnie, by o tym rozmawiać. Nie minęło jeszcze 12 godzin od mojego powrotu do Polski.

Co robiłaś przez ten czas? Jak minął Twój pierwszy dzień po dwóch miesiącach nieobecności?

Prosto z Okęcia pojechałam po Jeremiego do szkoły. Zwolniłam go z lekcji i cały dzień spędziliśmy razem, przytulając się do siebie.

Nie przeszkadza Wam? Gdzie jest teraz?

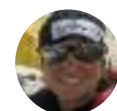
Poszedł pojeździć na rowerze, nie chciał nam przeszkadzać.

Na Okęciu czekał na Ciebie tłum dziennikarzy, kamery, mikrofony, błyski fleszy?

Nie, na lotnisku powitali mnie sponsorzy oraz przyjaciele. Dostałam od nich kosz owoców i warzyw. Wiedzieli, że tego brakowało mi podczas wyprawy najbardziej. Dostałam też karnet do SPA i piękne, pamiatkowe kolczyki.

Media jeszcze nie dobijają się do Ciebie?

Dobijają. Już jestem umówiona na antenie. Natomiast wywiadu jeszcze nie udzielałam, „n.p.m.” jest pierwszy. **I**



Bogumiła Raulin

Ma 35 lat. Urodziła się i wychowała w Gdyni, obecnie mieszka w Warszawie. Z wykształcenia oraz zawodu mgr inż. trakcji elektrycznej. Miłośniczka podróży, wspinaczki wysokogórskiej, szybownictwa i motocrossu. Najmłodsza Polka z Koroną Ziemi w dorobku. Prowadzi stronę www.bogumilaraulin.pl.



Jakub Terakowski

Był na wszystkich kontynentach, Polskę przeszedł z Gdańska na Rysy i ze Świnoujścia na Hel (wielokrotnie). Wytyczył Ekstremalny Szlak Szarlotek Tatrzańskich. Mieszka w Krakowie i Gdańsku, więc nie wszystko, co kocha, jest w górach...